

Po wojnie porządek geopolityczny wokół Polski zmieni się. Musimy liczyć przede wszystkim na siebie



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Rosja w perspektywie kilku-kilkunastu lat odbuduje swój najeźdźczy potencjał. Wzrośnie presja na redukcję amerykańskiej obecności w Europie i niespójności w NATO. Polska musi budować swoją potęgę. Włącznie z dążeniem do posiadania własnej broni jądrowej

W pamiętny lutowy weekend ubiegłego roku, bezpośrednio po pełnoskalowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę, dziennikarz niemieckiego dziennika „Handelsblatt” Torsten Riecke (skądinąd tytułu znaczącego dla budowania głębokich zależności Berlin-Moskwa) napisał, że w ciągu 48 godzin polityka Republiki Federalnej wobec Kremla zmieniła się bardziej niż przez poprzednich ponad 30 lat. To trafne uchwycenie szczególnej dynamiki geopolitycznego trzęsienia ziemi, które wojna nad Dnieprem przyniosła, stosuje się także do wielu innych aspektów przebudowy świata, jaki znaliśmy. W tym do roli Polski. Można wręcz powiedzieć, że pozycja międzynarodowa Warszawy w krótkim czasie zmieniła się podobnie znacząco, jak polityka Niemiec wobec Rosji.

Jak wzrosła waga Polski

Polska, przystępując zdecydowanie do obozu antyrosyjskiego w tym konflikcie,

stała się bowiem zwornikiem zorganizowanej zachodniej pomocy dla Ukrainy. Ze względu na samo położenie geograficzne, była i jest naturalnym zapleczem operacyjnym i hubem logistycznym, z terytorium umożliwiającym ustanowienie najkrótszych i najefektywniejszych korytarzy transportowych dla dostaw tak sprzętu wojskowego, jak i dóbr cywilnych. Radykalnie zwiększając tym samym realną głębię strategiczną Ukrainy i – szerzej – obozu zachodniego dążącego do powstrzymania ekspansji Kremla. Można sobie łatwo wyobrazić, jak radykalnie inny mógłby być przebieg tych zmagania, gdyby Polska podjęła odmienną decyzję polityczną. Podobną przykładowo do daleko idącego sceptycyzmu Węgier co do wspierania Kijowa. Kombinacja położenia i jasnej orientacji geostrategicznej uczyniła Polskę kluczowym państwem w zmaganiach Ukraina-Rosja i Zachód-Rosja. Zasadniczo przyczyniającym się do niepowodzeń Kremla (choć oczywiście w sposób wtórny wobec skuteczności samych obrońców

i olbrzymiej pomocy kolektywnego świata transatlantyckiego). Zresztą sytuacja ta przypomina niejako mimochodem tezę Halforda Mackindera o Europie Wschodniej jako bramie do Heartlandu.

Nic dziwnego więc, że to Polska stała się głównym beneficjentem ponaddwukrotnego wzrostu amerykańskiej obecności w Europie, który nastąpił w krótkim czasie po 24 lutego 2022 r., rozwiewając wcześniejsze obawy o jej możliwy spadek. Podobnie nie powinno zaskakiwać, że to właśnie nad Wisłę rekordowo często zaczęli politycznie pielgrzymować wysocy i najwyżsi przedstawiciele USA, w tym prezydent, wiceprezydent, sekretarze stanu i obrony. Rzecz oczywiście nie w samych wizytach, a w ich historycznym zagęszczeniu, znamionującym, że rola Polski w percepcji Waszyngtonu – radykalnie wzrosła. Towarzyszy temu gwałtowne zacieśnienie relacji Warszawy z Kijowem,

**Kombinacja położenia
i jasnej orientacji
geostrategicznej uczyniła
Polskę kluczowym
państwem w zmaganiach
Ukraina-Rosja i Zachód-
Rosja**

zbliżenie z Rumunią, reanimacja relacji w obrębie Grupy Wyszehradzkiej (minus Węgry). Dodać trzeba, że jednocześnie Polska realizuje ambitny program zbrojeń, który można uznać za swoistą konsumpcję pozycji europejskiego lidera wzrostu gospodarczego ostatnich dekad. Przekłada się on na konkretne zwiększenie względnej

potęgi państwa. Krótko mówiąc: w wyniku eskalacji wojny ukraińskiej, Polska stała się w ciągu roku znacząco innym krajem. Również o wiele ważniejszym na arenie europejskiej.

Czy – i w jakim ewentualnie stopniu – jest to jednak zmiana trwała? Pytanie to narzuca sama naturalna czasowość każdej, w tym obecnej, wojny. Ale w szerszym horyzoncie czasowym również kwestia możliwego „końca amerykańskiego stulecia”, roztrząsana także przez redakcję znakomitego włoskiego miesięcznika „Limes”. Pomiędzy tymi perspektywami mamy cały szereg zmiennych składających się na logikę ewolucji systemu tak europejskiego, jak i światowego. Wzrost znaczenia Polski nie musi – choć może – być trwały. A właściwe zrozumienie czynników, od których rozstrzygnięcie tego dylematu zależy, pomoże jednocześnie lepiej pojąć logikę sytuacji geopolitycznej w Europie. Skupię się tu na kwestiach tradycyjnego bezpieczeństwa. Takie – również bardzo ważne – elementy jak pozycja Polski w UE i ewolucja samej Unii zostawię przy tym, z braku miejsca, na boku.

Europa ze Stanami czy bez?

Sprawą centralną jest tu trwałość (lub jej brak) amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa i obecności USA na Starym Kontynencie. Wzrost międzynarodowego znaczenia Polski w dobie wojny ukraińskiej jest także efektem jednoczesnego zwiększenia zaangażowania Stanów Zjednoczonych w jej ochronę i nieprzekroczenia granic eskalacji konfliktu z Rosją, mogącego np. wciągnąć Warszawę do wojny. Ewoluuujące z czasem, „czerwone linie” dopuszczalnej eskalacji wydają się na dziś względnie jasno i stabilnie wytyczone, odsuwając na margines możliwość zbroj-

nego starcia NATO-Moskwa. Jednak dalsza przyszłość zostanie pod tym względem dopiero napisana. Zwłaszcza że fundamentalny dylemat USA pt. „co dalej z naszą obecnością w Europie po wojnie ukraińskiej?” czeka wciąż na elementarne rozstrzygnięcie.

Jest kwestią dla ludzi dobrze rozeznanym oczywistą, że nad przyszłością amerykańskiego zaangażowania na Starym Kontynencie zawisły już kilkanaście lat temu wielkie znaki zapytania. Ameryce wyrósł równorzędny konkurent w zupełnie innym miejscu świata, będący największym zagrożeniem dla prymatu USA w ich historii. Są nim oczywiście Chiny, doświadczające wielkiego renesansu swojego historycznego znaczenia i potęgi. W niezwykły sposób USA walnie pomogły „obudzić smoka”, zasilając go gigantycznymi strumieniami kapitału związanymi z włączeniem w zachodni obieg gospodarczy, a następnie strategicznie przespała kolejne momenty, gdy mogła ten proces zatrzymać. W czasach Baracka Obamy obudziła się w sytuacji Chin wyrastających już na supermocarstwo (w tym największą siłę w kategoriach PKB mierzonego PPP), kradnące amerykańską globalizację i stającą się głównym jej beneficjentem, efektywnie wypychające wpływy Waszyngtonu nie tylko z Azji Wschodniej i Zachodniego Pacyfiku, ale też Europy czy Bliskiego Wschodu. Jednak słynny „zwrot ku Pacyfikowi” z lat 2011-14 okazał się klęską. A zanim nowa strategia powstrzymywania z prawdziwego zdarzenia zaczęła się klarować w dobie rządów Donalda Trumpa, niekorzystne dla USA procesy zaszły jeszcze dalej. Tempo wzrostu chińskiej potęgi było bowiem oszałamiające i bezprecedensowe. Dziś, w dobie administracji Joe Bidena mamy już większą jasność co do tego, jak Ameryka chce powstrzymać Pe-

kin, ze szczególnym uwzględnieniem rywalizacji technologicznej i restrykcji w sektorze półprzewodników. Jednak ostateczny wynik pozostaje wysoce niepewny, a relacja względnej potęgi wciąż zmienia się na korzyść Chin. Stąd oczywiście – wracająca od czasów Obamy – kwestia ewentualnego wycofania USA z Europy, jako drugorzędnego już teatru strategicznego z punktu widzenia Waszyngtonu. Jej znaczenie potęgowane jest przez stopniowy spadek relatywnej siły amerykańskiej w świecie (trwający już przecież od dekad), narastające braki konkretnych zasobów, dalekie od rozwiązania problemy astronomicznych deficytów handlowego i budżetowego.

Nad przyszłością amerykańskiego zaangażowania na Starym Kontynencie zawisły już kilkanaście lat temu wielkie znaki zapytania

Wojna ukraińska pomogła rozjaśnić zasadniczą tu sprawę: Stany Zjednoczone nie tylko nie zamierzają w najbliższym czasie opuszczać Europy, ale też są gotowe poświęcić wiele, by zneutralizować rosyjski ekspansjonizm. Ultimatum Władimira Putina z końca 2021 roku zakładało przecież wielką przebudowę architektury bezpieczeństwa na kontynencie, ze znaczącym lub całkowitym wypchnięciem Ameryki, osłabieniem lub zniszczeniem NATO, zapewne w dalszej kolejności także z narzuceniem UE nowych *terms of trade*. Zostało ono jednoznacznie odrzucone, a Waszyngton przeznaczył ogromne środki

na powstrzymanie Kremla. Z marginalną rolą nagłej i bezprecedensowej miłości do Ukrainy, wielką – do własnych interesów geostrategicznych. Akceptacja warunków Putina byłaby bowiem oddaniem Europy w dużej mierze na pastwę Rosji i Chin, a także kompromitacją amerykańskiej wiarygodności sojuszniczej – również na Zachodnim Pacyfiku.

Po Rosji przyjdzie czas na Chiny

W większym rachunku geopolitycznym jest to zgodne z koncepcją „sekwencjonowania strategicznego” Wessa Mitchella, byłego wysokiego urzędnika w administracji Trumpa, później i wciąż – bardzo wpływowego eksperta. Znalazła ona później wyraźne odzwierciedlenie, jak wskazują zasadnicze zbieżności, w amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego z jesieni 2022 roku. Wychodzi ona z założenia, że Waszyngton nie jest w stanie intensywnie rywalizować z Chinami i Rosją. W związku z tym musi rozdzielić zagrożenia w czasie, najpierw neutralizując mniejsze, by następnie móc zająć się większym. Rosja jest tu oczywiście tym mniejszym, któremu należy wybić lub przynajmniej stępić zęby na Ukrainie, tak, by przestała w istotny sposób kwestionować europejską i globalną zarazem pozycję USA.

To powoduje fundamentalną zbieżność polskich i amerykańskich interesów na tym etapie dziejów. Dotyczy to także całej reszty wschodniej flanki NATO, jak i wszystkich tych, którym w Europie obecność USA jest miła. Pozostaje jednak pytanie o to, co po wojnie ukraińskiej. Łącznie z tym, że nie w pełni wysłowionym, ale wyraźnie przebijającym z międzywierszy założeniem „sekwencjonowania strategicznego” jest dopuszczenie w przyszłości

opcji „odwróconego manewru Kissingera”. A więc, jeśli by stało się to możliwe, próby wyciągnięcia Rosji z objęć Chin i skierowania jej przeciwko nim. Odwrotnie niż Nixon i Kissinger zrobili z Państwem Środka w czasach rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Jakkolwiek nierealistyczna i czysto akademicka była owa opcja w ostatnich latach, ewentualne znaczące nadwątlenie rosyjskiej potęgi może otworzyć drogę do powrotu do niej w przyszłości. To musiałoby budzić najwyższy niepokój w Polsce i na całej flance wschodniej NATO.

Stany Zjednoczone nie tylko nie zamierzają w najbliższym czasie opuszczać Europy, ale też są gotowe poświęcić wiele, by zneutralizować rosyjski ekspansjonizm

Sądzę jednak, że jest wariantem mało prawdopodobnym. Nawet nie przede wszystkim dlatego, że poziom zależności rosyjsko-chińskich i niechęci między Zachodem a Kremlem jest obecnie największy od czasów zimnej wojny, a z tego zwłaszcza powodu, że ewentualne uruchomienie tego scenariusza musiałoby napotkać na potężne przeciwdziałanie Chin. To zaś, biorąc pod uwagę ogromną i narastającą asymetrię potencjałów, byłoby zagrożeniem nie tylko dla międzynarodowej pozycji Rosji, ale wręcz dla przetrwania jej bytu imperialno-państwowego. Dochodzi to tego szereg innych

komplikacji o charakterze fundamentalnym, łącznie z tym, co Ameryka mogłaby realnie zaoferować Moskwie w zamian za porzucenie nie największego zła – a zarazem nie najmniejszego dobra – jakim jest dla niej status junior partnera Chin, coraz bardziej zresztą zwróconego w ogóle ku Azji.

Tak więc wydaje się, że kluczowy dyblemat USA dotyczący zaangażowania w Europie po wojnie ukraińskiej, będzie raczej rozstrzygnięty na rzecz jakiejś formy utrzymania obecności. Jej szczegóły dookreśli w zasadniczy sposób wynik zmagania nad Dnieprem, jak i rezultat trwającej właśnie intensywnej debaty geostrategicznej za Atlantykiem.

Ukraina w 1994 r. zamieniła broń jądrową na świstek memorandum budapesztańskiego, rzekomo gwarantujący jej integralność terytorialną, lecz nic nie warty w praktyce

Jednak to, że generalny kierunek jawi się jako względnie jasny, nie usuwa całej reszty problemów, którymi amerykańska obecność w Europie jest obciążona. Na czele ze spadającą potęgą względną i wzrostem zagrożenia chińskiego. Składają się one na megatrendy tak ewolucji globalnego środowiska bezpieczeństwa, jak i mocarstwowej pozycji Ameryki. Tworzące presję na redukcję obecności w Europie z czasem. Nie może być ona zbyt gwałtowna lub niszcząca amerykańską wiarygodność sojuszniczą, jeśli Waszyngton

nie ma doświadczyć katastrofalnego załamania swej potęgi i pozycji globalnej. Wydaje się jednak nieuchronna, zważywszy na skalę – i odmienność, w tym czysto wojskową – wyzwań na Zachodnim Pacyfiku. To zaś musi rodzić pytanie o trwałość amerykańskich gwarancji sojuszniczych.

Gwarancje USA nie są wieczne

Samo pojęcie jest oczywiście umowne. W istocie nie ma czegoś takiego, jak stu-procentowe gwarancje bezpieczeństwa, ponieważ wszelkie deklaracje i interesy geostrategiczne podlegają tysiącomi zmieniających się do pełnego przewidzenia trajektorii wzajemnych oddziaływań w czasie. Polska pamięć narodowa przechowuje tu zresztą ważne lekcje. W 1939 r. mieliśmy gwarancje sojusznicze Francji i Wielkiej Brytanii. W chwili próby okazały się one jednak warte tyle, co papier, na którym je napisano, nijak nie chroniąc Polski przed katastrofalnym najeźdem III Rzeszy i Związku Sowieckiego, zniszczeniem państwa, wymordowaniem milionów obywateli i dewastacją kraju, której skutki odczuwamy do dziś. Ukraina w 1994 r. zamieniła broń jądrową na świstek memorandum budapesztańskiego, rzekomo gwarantujący jej integralność terytorialną, lecz nic niewarty w praktyce. I tak dalej, i tym podobne. Nie porównuję niniejszym rzecz jasna art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego i obecnych amerykańskich gwarancji sojuszniczych do wspomnianych sytuacji z przeszłości. Podkreślam jedynie, że żaden traktat czy układ sam z siebie niczego istotnego nie zapewnia: może to czynić jedynie wówczas, gdy zbiega się z odpowiednimi zdolnościami konkretnych aktorów i wolą ich użycia w danej sytuacji.

Obecnie Polska i inne kraje Sojuszu Północnoatlantyckiego mogą, jak się wydaje, liczyć na to, że w razie agresji zewnętrznej, otrzymają potężne wsparcie konwencjonalne, zaopatrzeniowe i finansowe USA. W związku z tym samo odstraszenie jest na tyle silne, że minimalizuje ryzyko zbrojnej napaści. Jeszcze niedawno Rosja zdawała się sądzić – jak wskazywała na to treść ultimatów Putina z przedednia inwazji – że jest w stanie samą groźbą użycia siły lub faktycznym działaniem ośmieszyć amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa i wymusić korzystne dla siebie zmiany. Te kalkulacje były powiązane z założeniem o zdolności do rzucaenia Ukrainy na kolana nagłym blitzkriegiem i zostały obrócone wniwecz wraz z klęską tego ostatniego. Dziś Rosja dysponuje już istotnie zmniejszonym potencjałem bojowym, jak również obniżoną odpornością gospodarczą i radykalnie zredukowanymi możliwościami uzyskania efektu zaskoczenia. Będzie zapewne potrzebowała co najmniej kilku lat na samo odtworzenie armii, któremu towarzyszyć jednak będzie wzmocnienie sił państw wschodniej flanki i ich sojuszników.

Najistotniejsze wątpliwości nie dotyczą jednak chwili obecnej, a krótko- i średnioterminowej przyszłości. Należy liczyć się z tym, że Rosja w perspektywie kilku-kilkunastu lat odbuduje swój najeźdźczy potencjał, a jednocześnie presja na redukcję amerykańskiej obecności w Europie będzie rosła, podobnie jak niespójności w obrębie NATO. Do tego dochodzi prawdopodobny wzrost znaczenia arsenału jądrowego, coraz częściej wskazywany tak przez rosyjskich ekspertów, jak i niejako przez logikę sytuacji kolejnych niepowodzeń konwencjonalnych Kremla. Łączy się to ze znacznie niższym poziomem pewności co do sojuszniczych gwarancji

bezpieczeństwa. Szereg wpływowych ekspertów rosyjskich, jak np. Siergiej Karaganow, uważa, że w razie ataku atomowego na przykład na polski Poznań, Amerykanie „na 99 proc.” nie zaryzykują odwetowego uderzenia na swoje terytorium w efekcie ewentualnej nuklearnej zemsty w obronie swoich aliantów. To, zdaniem kremlofskich strategów, czyni gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA w zakresie wojny jądrowej – efektywną fikcją. Nie sposób odmówić ich rozumowaniu istotnej racji. A to samo w jeszcze większym stopniu dotyczy innych potęg nuklearnych NATO.

Żaden traktat czy układ sam z siebie niczego istotnego nie zapewnia: może to czynić jedynie wówczas, gdy zbiega się z odpowiednimi zdolnościami konkretnych aktorów i wolą ich użycia w danej sytuacji

Sytuację dodatkowo komplikuje intensywna rozbudowa rosyjskiego potencjału taktycznej broni jądrowej, której np. Francja nie ma w ogóle, a Sojusz ma generalnie mało, co czyni poważną asymetrię na jednym z bardzo ważnych szczebli drabiny eskalacyjnej. Mówimy tu z jednej strony o wariantach skrajnie pesymistycznych. Z drugiej jednak: o trwającej nieustannie sygnalizacji geostrategicznej i możliwych próbach wymuszania pożądanych reakcji politycznych za jej pomocą.

Najważniejszym czynnikiem z punktu widzenia skuteczności amerykańskich

gwarancji bezpieczeństwa jest jednak poziom względnej potęgi USA. W nie tak dawnych czasach „jednobiegunowej chwili” Amerykanie byli tak potężni, że byli w stanie efektywnie odstraszać – lub karać – prawie wszystkich, prawie wszędzie. Dziś osłabli w kategoriach względnych na tyle, że nawet radykalnie lub całkowicie redukując obecność w miejscach typu Irak czy Afganistan, nie są w stanie intensywnie rywalizować jednocześnie z Rosją i Chinami. Za kilka-kilkanaście lat sytuacja będzie, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, jeszcze znacznie trudniejsza dla USA. Jeśli jednak względny spadek amerykańskiej potęgi będzie przebiegał stopniowo i w miarę liniowo, będzie stosunkowo łatwy do uwzględnienia i adaptacji ze strony sojuszników. Gigantycznym kłopotem byłoby natomiast gwałtowne załamanie. Czy możemy wykluczyć głęboki kryzys wewnętrzny w wyniku np. krachu finansowego, porażki w rywalizacji z Chinami, kolejnych wydarzeń typu Black Lives Matter – lub współwystąpienia kilku różnych czynników destrukcji w tym samym czasie? Nie możemy. Zatem nie tylko stopniowo erozja, ale i gwałtowne załamanie amerykańskiej potęgi – są wariantami, które należy brać pod uwagę.

Liczmy na siebie

W Polsce mówi się: „umiesz liczyć – licz na siebie”. Zewnętrzne gwarancje bezpieczeństwa są niezwykle ważne, ale najpewniejszą polisą przetrwania i rozwoju w dzungli stosunków międzynarodowych – jest potęga własna. To zresztą abecadło realizmu politycznego. Zatem zwłaszcza Polska, położona w jednym z najmniejbezpieczniejszych miejsc na świecie, na zapraszających do zmasowanych inwazji otwartych nizinach pomostu bałtycko-

czarnomorskiego, musi w niepewnych realiach XXI wieku liczyć przede wszystkim na siebie. Czyli: budować potęgę swego państwa do takiego poziomu, który uczyni agresję nieopłacalną, a w najgorszym razie – możliwą do odparcia. Zresztą nawet dziś hipotetyczna konwencjonalna odsiecz sojusznicza w ramach NATO i sojuszu z USA mogłaby nadejść najwcześniej po tygodniach. Do tego czasu odpowiednie linie obrony musiałyby zostać odpowiednio długo utrzymane. Mówimy tu jednak przede wszystkim o dalszej przyszłości i czarnych scenariuszach ewentualnego braku lub poważnego ograniczenia skali takiej pomocy.

Szereg wpływowych ekspertów rosyjskich, jak np. Siergiej Karaganow, uważa, że w razie ataku atomowego na przykład na polski Poznań, Amerykanie „na 99 proc.” nie zaryzykują odwetowego uderzenia na swoje terytorium

Wymaga to więc od Polski zbudowania przede wszystkim wystarczająco dużej potęgi wojskowej. Ze szczególnym uwzględnieniem zdolności przeciwlotniczych i przeciwrakietowych, przeciwpancernych, nowoczesnego i suwerennego systemu świadomości sytuacyjnej i łączności, armii dronów i ogólnie zdolności do prowadzenia efektywnych działań zaczepnych i manewrowych. Wojna ukraińska pokazuje, że kraj średniej wielkości

ma szanse powstrzymać agresję znacznie potężniejszej Rosji. Warszawa już obecnie dysponuje wielokrotnie większymi zasobami finansowymi niż Kijów, bez porównania mniej skorumpowanym i mniej zoligarchizowanym państwem etc. Ma więc w nieodległej perspektywie szanse osiąść znacznie większe zdolności odstraszania i obrony od Ukrainy. I choć pod względem budowania potęgi wojskowej pierwsze ćwierćwiecze po upadku Sowieców zostało praktycznie zmarnowane, w ostatnich latach zaczęło się to zmieniać, a obecny program zbrojeń jest najambitniejszym w UE. Pewnym niebagatelnym sukcesem polskiej transformacji po 1989 r. jest przy tym zbudowanie dość dynamicznej gospodarki i osiągnięcie statusu europejskiego lidera wzrostu PKB. Istnieją więc, na ten moment, wystarczające źródła zasilania poważnego programu zbrojeń.

Nie należy oczywiście poprzestawać na tych gospodarczych laurach. Polska jest zacofana technologicznie i ma niski status w międzynarodowych łańcuchach produkcji. Potrzebuje wielkiego przyśpieszenia w budowie potencjału naukowo-technicznego i kultury innowacyjności. Jak również inteligentnej i proaktywnej polityki wspierania awansu polskich firm w łańcuchach produkcji, połączonej z wewnętrzną liberalizacją, ale i intensywną polityką społeczną. Z tym wiąże się fundamentalnie ważna konektywność (jak nazywa nowoczesną infrastrukturę i generowane przez nią przepływy i połączenia Parag Khanna), w wymiarze cywilnym, jak i wojskowym. Siła gospodarcza jest zbyt ważna w ogólnym rachunku potęgi, by – biorąc pod uwagę skalę niepewności, o której perspektywach tu mówimy – poprzestać na tym, co ma obecnie.

Fundamentalnym elementem potęgi jest również potencjał ludnościowy i w

przypadku Polski jest on sprawą szczególnie pilną. Weszliśmy bowiem w trajektorię demograficznej zapaści. Nie tak wprawdzie dotkliwej, jak ostatnie dekady w Rosji i w szeregu krajów regionu, ale coraz bardziej dotkliwej i grożącej daleko idącym wyludnieniem. Jest to jedna z największych barier w rozwoju każdego innego wymiaru potęgi. Musimy ją pokonać. Moim zdaniem poprzez kombinację działań na rzecz odbudowania dzietności co najmniej do poziomu zastępowalności

**Czy możemy wykluczyć
głęboki kryzys wewnętrzny
w wyniku np. krachu
finansowego, porażki
w rywalizacji z Chinami,
kolejnych wydarzeń typu
Black Lives Matter – lub
współwystąpienia kilku
różnych czynników
destrukcji w tym samym
czasie?**

pokoleń i inteligentnej polityki imigracyjnej. Ta ostatnia, jeśli nie ma być społeczną bombą wielokulturowości, przed którą wyrazistą przestrogą stanowią negatywne doświadczenia szeregu krajów zachodnioeuropejskich, musi się wiązać z redefinicją narodu w wyrażnie polityczny. Tak, by etniczny Ukrainiec, Hiszpan czy Turek mógł się stać nie tylko pełnoprawnym, ale i rzeczywistym obywatelem. Korzystającym ze wszystkich praw, ale i po-

czuwającym się do obowiązków, łącznie z obroną kraju w przypadku wojny. Tak jak było to w czasach I Rzeczypospolitej w XVI-XVIII stuleciu, z oczywistą koniecznością adaptacji do realiów XXI w.

Nie mogę tu omawiać wszystkich aspektów potęgi (polskiego) państwa, które są ważne w ogóle, jak i w omawianych tu szczegółach. Skupiłem się więc na trzech najważniejszych, a na koniec tej części wywodu wspomnijmy o jeszcze jednym, integrującym je wszystkie. A więc: o samym państwie. Dziś wysoce nieefektywnym, niesterownym, skorumpowanym. Wymaga ono głębokich reform, aby pozostałe wymiary potęgi miały szansę się urzeczywistnić.

Nowa polityka zagraniczna Polski

Wysiłki na rzecz budowy siły własnej nie powinny oczywiście oznaczać zaniedbania polityki zagranicznej i bezpieczeństwa oraz efektywnego systemu sojuszy. Przeciwnie: to dwie strony tej samej monety. Wejście do NATO i sojusz z USA fundamentalnie wzmocniły bezpieczeństwo Polski. Na dłuższą metę mogą jednak, jak pokazywałem, nie wystarczyć. Polska nie ma, rzecz jasna, wystarczającej siły, by zatrzymać ewentualne trendy dekompozycji świata transatlantyckiego i UE. Ma natomiast potencjał bycia efektywnym moderatorem tych systemów, a na szczeblu regionalnym – nawet współkreatorem. Powinna więc po te role w nadchodzących latach sięgnąć. Tak, by w miarę możliwości zapobiegać i przeciwdziałać procesom erozji NATO i UE, jak i sprzecznym z własną racją stanu i interesem regionu tendencjom w rodzaju francuskich koncepcji wypychania Ameryki i nadmiernego przyciągania Rosji i Chin.

Rozszerzenie Sojuszu Północnoatlantyckiego o Finlandię i Szwecję jest kolejnym potencjalnym game changerem bezpieczeństwa Polski. A zarazem reszty regionu. Podwaja lądową granicę NATO-Rosja, rozprasza siły Kremla, przybliża Bałtyk do statusu wewnętrznego jeziora Sojuszu, radykalnie zwiększa możliwości obrony Polski i krajów bałtyckich (Litwy,

Polska jest zacofana technologicznie i ma niski status w międzynarodowych łańcuchach produkcji. Potrzebuje wielkiego przyspieszenia w budowie potencjału naukowo-technicznego i kultury innowacyjności

Łotwy, Estonii). Jednocześnie wskazując na jeden z najbardziej obiecujących kierunków polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Warszawy. Opcja północna polskiej polityki jest zaniedbana nie tylko w perspektywie dekad, ale wręcz stuleci. Pora ją reaktywować. Państwa nordyckie dysponują znaczącym potencjałem wojskowo-strategicznym, gospodarczym i politycznym. Jest on wysoce synergiczny z polskim. Obecnie nasza percepcja bezpieczeństwa jest już bardzo zbliżona, a jednocześnie podobnie rozbieżna z francuską czy niemiecką. Skandynawowie ściśle współpracują między sobą, ostatnio dołączając tu kolejne ważne elementy, skła-

dające się na tzw. twierdzą Północy. Grozi to segmentacją bezpieczeństwa (jak to określił wybitny polski analityk Marek Budzisz) w obrębie NATO: tworzeniem odrębnych systemów i przewagą konkurencji nad współpracą. Trzeba to ryzyko odwrócić, budując system twierdz północno-wschodnich. Ściśle skoordynowany, nastawiony przede wszystkim na współpracę i synergię. W ślad za tym powinna pójść jak najbliższa kooperacja polityczna i gospodarcza, budowanie północno-wschodniej konektywności.

Opcja północna polskiej polityki jest zanedbana nie tylko w perspektywie dekad, ale wręcz stuleci. Pora ją reaktywować

To oczywiście nie wszystko. Fundamentalnymi kierunkami polskiej polityki są także południe i wschód. Na pierwszym w szczególności współpraca z nadczaromorską Rumunią i krajami wyszehradzkimi (intensyfikowane zresztą ostatnio) może uwolnić niebagatelny potencjał wzrostu bezpieczeństwa. Na nieco dalszym planie ważna jest kooperacja z Turcją, dysponującą dużym i rosnącym potencjałem w rejonie Morza Czarnego i Kaukazu. Na wschodzie kluczowe są Ukraina i Białoruś. Przyszłość pierwszej jest dziś niepewna. Ale jeśli w jakiś czas po wojnie będzie ona w stanie stać o własnych nogach, powinna pozostać obiektem fundamentalnego zainteresowania Warszawy. Na czoło wysuwają się tu kwestie ewentualnych gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy oraz jej odbudowy ze zniszczeń.

W wariacie optymistycznym ma szansę powstać nowy regionalny układ bezpieczeństwa, *de facto* rozszerzający system transatlantycki na Ukrainę. A przez to ogromnie wzmacniający pozycję i możliwości obronne Polski oraz innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej i Skandynawii. W wariacie pesymistycznym Ukraina stanie się tutejszą Syrią, pasmem niestabilności, może nawet państwem upadłym. Granice regionalnego systemu bezpieczeństwa będą wówczas znacznie mniej korzystne. Może pozostać natomiast kwestią dalsze wspieranie ukraińskiego oporu i dążenie do odwojowania sytuacji za czas jakiś.

Białoruś jest dla Moskwy jeszcze ważniejsza niż Kijów. To przez nią szły w przeszłości wielkie inwazje na Rosję, a sama ewentualna zmiana jej geopolitycznej orientacji może zdestabilizować imperium Kremla. Dla Polski jest również bardzo ważna, tak z powyższych powodów, jak i ze względu na wspólną granicę, oraz zwornikowe położenie. Efektywne podporządkowanie Białorusi Moskwie w sensie wojskowo-operacyjnym radykalnie obniża (i obniżyło) poziom bezpieczeństwa Ukrainy i krajów bałtyckich. W mniejszym, choć wciąż bardzo dużym stopniu, dotknęło to także Warszawy, więcej niż potrącając *de facto* granicę polsko-rosyjską i niekorzystnie modyfikując układ regionalny. Odwojowanie Białorusi pozostaje kluczowym wyzwaniem na przyszłość.

Polska broń jądrowa?

Te fundamentalne, regionalne wyzwania polskiej polityki zagranicznej nabierają tym większej wagi w nadchodzących latach i dekadach nie tylko ze względu na możliwość redukcji amerykańskiej obecności na Starym Kontynencie. Wojna ukraińska

uwydatniła zasadnicze różnice w percepcji bezpieczeństwa między Europą Środkowo-Wschodnią i Skandynawią a kontynentalną Europą Zachodnią, w szczególności Francją i Niemcami. Biorąc pod uwagę zachowanie Berlina w pierwszej fazie konfliktu (zwłaszcza spowalnianie i blokowanie transportów broni), nie można być pewnym jego postawy w razie agresji na Polskę. To zaś oznaczać może efektywny paraliż korytarzy przerzutu odsieczy wojskowej, wiodących przecież właśnie przez Niemcy. Polska musi więc szukać drogi do dobrego ułożenia się z Republiką Federalną, ale jednocześnie liczyć się z tym, że w godzinie próby może być na kierunku zachodnim odcięta. Stąd tym większe znaczenie polityki północnej, południowej i wschodniej.

Do tego dochodzi kwestia nuklearna. Jak mówiliśmy, ewentualny sojuszniczy kontratak jądrowy jest szczególnie wątpliwym elementem gwarancji bezpieczeństwa dla Polski (i innych państw regionu). Tymczasem graniczymy z agresywnym mocarstwem nuklearnym, które pod względem potencjału masowego rażenia nie ma sobie równych poza Ameryką. Na dziś to zupełnie nierealne, ale docelowo Polska powinna dążyć do posiadania własnej broni jądrowej. Przekonanie Waszyngtonu i innych sojuszników do włączenia tu zielonego światła byłoby z jednej strony bardzo trudne, ale z drugiej – spójne ze strategią „uzbrajania sojuszników” i re-

dukcją własnej obecności, realizowaną od pewnego czasu przez USA.

Wyzwania bezpieczeństwa Polski są więc ogromne. I wymagają takiegoż, zorganizowanego wysiłku narodowego. Warto mieć jednak na uwadze nie tylko zagrożenia – ale i szanse. Rosja jest bardzo niebezpiecznym, lecz słabnącym państwem. Co więcej, nadchodząca rewolucja energetyczna rysuje coraz wyraźniej perspektywę odebrania moskiewskiemu imperium lwiej części dochodów i przekształcenia go w węglowodorowy skansen. Już dziś zacofany technologicznie, wydłużający się, podlegający coraz większej presji geopolitycznej z każdej strony – będzie takim bardzo prawdopodobnie w coraz większym stopniu. To otwiera perspektywę nowej Wielkiej Smuty (okres głębokiej zapaści państwa z przełomu XVI i XVII w.), i to już w horyzoncie najbliższej dekady-dwóch. Do tego czasu Rosja z pewnością zrobi co w jej mocy – a jej mocą jest głównie wojsko – żeby wyrwać się ze strategicznej pułapki i wywalczyć nowe reguły gry.

Jeśli przetrwamy ten okres (a jak starałem się pokazać, są wszelkie podstawy sądzić, że jest to możliwe), otworzą się szanse na nowy, znacznie lepszy porządek w Europie.

Powyższy tekst jest polską wersją eseju, który ukazał się w maju 2023 r. we włoskim miesięczniku „Limes”.